



Bachantki
T. Rozmaitości

9

605

Trybuna

WARSZAWA

DZ. Nr

41

17/18-02-2001

Pod koniec tragedii na stole ofiarnym (przypominającym stół z kostnicy) lądują dwa kubły zaszlachtowanego Penteusza. Obraz niemal wyjęty z horroru lub współczesnego thrillera. „Bachantki” okazują się scenariuszem niepokojąco współczesnym, a Krzysztof Warlikowski po raz kolejny swoją adaptacją klasyki dowodzi, że człowiek nie ulega przez wieki zmianom, nieustannie targany tymi samymi namiętnościami, lękami i pragnieniami.

Wprawdzie mięso ofiary zemsty boga nie czyni wielkiego wrażenia (może właśnie dlatego, że nawykliśmy do narastającej brutalności, jaką epatuje film), ale nie robię z tego powodu zarzutu Warlikowskiemu, który odnalazł w tragedii Eurypidesa motywy i tony rymujące się z niepokojami naszych czasów. Szaleństwo rozfanatyzowanych bachantek, rozstawiających w pierwszych sekwencjach widowska ołtarzyk z adorowaną figurką, kiczowata i interesowna aura owej adoracji (zachowanie starców, postanawiających pielgrzymować na misteria), pojawienie się nowego boga (bogów), manipulacja ludźmi, skłonność do podglądactwa (Penteusz, wrogo usposobiony do nowej sekty, dziwnie łatwo ulega pokusie ich podglądania), gotowość do wiary w cuda, ideowe zagubienie... Doprawdy, można by sporządzić ogromny katalog nawiązań, aluzji, tematów, spraw, idei, które współbrzmiały z tą zagadkową tragedią. Przez jednych bowiem uważana jest za obrazoburczy tekst Eurypidesa-racjonalisty, przeciwnika nowych bogów, przez drugich jako przestroga

TEATR

Dwa wiadra z Penteuszem

TOMASZ MIŁKOWSKI

dla niewiernych. Dionizos, który w „Bachantkach” przybywa, aby załatwić osobiste porachunki z nieposłusznymi krewnikami-ludźmi, nie okazującymi należytego szacunku jego matce i jemu samemu, jest mściwym, małodusznym prostakiem, który dysponuje ogromną władzą. Ale jest jednocześnie darczyńcą przynoszącym ludziom boski napój szczęścia i radości. Kim jest więc w istocie?

Krzysztof Warlikowski zawiódł tym razem srodze tych swoich zwolenników, którzy w jego inscenizacjach szukali przede wszystkim „cudaczenia” i gęstego dziania scenicznego. W przeciwieństwie do poprzedniej realizacji w Rozmaitościach („Hamlet”), w której dał upust pasji dekonstrukcji, tym razem trzymał się blisko tekstu, stawiając bardziej na słowo niż na feerię efektów. Sprawia to pewną trudność widzom odwykłym od słuchania i nastawionym na ruszające się obrazki. To zresztą swego rodzaju paradoks tragedii greckiej, w której – podczas lektury – ciągle można znaleźć żywe inspiracje, ale która zarazem sprawia ogromną trudność w wersji sceniczej. Grecy umieli słuchać i właśnie na słowo byli przede wszystkim uwrażliwieni. Opowiadania świadków, które długo uchodziły za sposób wyminięcia trudności inscenizacyjnych, były wynalazkiem idącym w stronę upodobań widowni, która pragnęła słuchać. Umiała sobie wyobrazić to, co słyszy, ulegając poetyckiej magii słowa. Współczesny widz podczas długich monologów męczy się (nic się nie dzieje...). I choć w Rozmaitościach aktorzy

podają te monologu bardzo solidnie, a nawet niekiedy świetnie (monolog Tejrezjasza – Lecha Łotockiego), daje się słyszeć szuranie nóg i skrzypienie krzeseł. To poniekąd smutne, ale wytrawny inscenizator musi jednak uwzględnić ten ważny czynnik. Toteż za największy błąd przedstawienia uważam decyzję o graniu go bez przerwy. Utrzymanie uwagi widza przez niemal dwie godziny, przy czym co najmniej trzecią część tego czasu zajmują opowiadania świadków i monologi, to rzecz bardzo trudna – pod koniec napięcie siada. Może dlatego tak mierny jest efekt ekspresjonistyczno-naturalistycznego finału.

Spektakl Warlikowskiego – mimo tych zastrzeżeń – jest jednak dziełem zasługującym na uwagę. Świadczy o śmiałych poszukiwaniach artysty, penetrującego tradycję i odnajdującego w niej ważne tropy współczesności. Przedstawienie utrzymane w klimacie inscenizacji Petera Stein’a (a to już wystarczająca rekomendacja) toczy się wszędzie i zawsze, czyli tu i teraz. Warlikowski nie sili się na odtwarzanie antycznej aury, przeciwnie, bawi się nawet anachronizmami (telefonu komórkowego i kubłów asenizacyjnych nie wyłączając), pokazując za pomocą czytelnych znaków, kto jest kim. Wielką rolę pełni w spektaklu otwarta przestrzeń, prosta architektura, dająca poczucie uczestnictwa we wspólnocie, wzorowana na planie greckiej agory oraz sugestywna, natrętna muzyka Pawła Mykietyna, idealnie akcentująca temperaturę emocjonalną. W tej

przestrzeni działają aktorzy, przeźniewnie liryczny chór (w tej wcale nielirycznej opowieści) i przewrotny Dionizos Andrzeja Chyry. Ciekawa to rola, choć może nie w każdym szczególe przekonująca. Pierwszy monolog (przybycie Dionizosa) wypowiada tyłem do widowni, stojąc w głębi sceny. Mówi w sposób nasuwający skojarzenie z mową zakłóconą upośledzeniem. Ma to zapewne sygnalizować przemianę boga w człowieka – w tej skórze bóg nie czuje się najlepiej, nawet wspomina o tych trudnościach – ale efekt jest dyskusyjny. Potem jednak rola rozwija się coraz bardziej w stronę tajemniczej postaci przebiegłego, cynicznego manipulant’a, bawiącego się swymi ofiarami. Skromny przybysz staje się groźnym drapieźnikiem polującym na nieświadome rzeczy stworzenia. Na uwagę zasługują także role Penteusza (Jacek Poniedziałek), który z niezłomnego przeciwnika przestacza się w niewolnika Dionizosa, a także Tejrezjasza (Lech Łotocki) i Kadmosa (Aleksander Bednarek) – scena przygotowań starców do pielgrzymki na misteria jest prawdziwym majstersztykiem aktorskim.

W Rozmaitościach powstało więc przedstawienie, które trzeba zobaczyć nie tylko dlatego, że tragedia Eurypidesa grywana jest na scenie niezmiernie rzadko.

Eurypides, „Bachantki”, tłum. Stanisław Hebanowski, reżyseria Krzysztof Warlikowski, scenografia Małgorzata Szczęśniak, muzyka Paweł Mykietyn. Teatr Rozmaitości w Warszawie, premiera w lutym 2001